

Hołdys: Gitarzysta niech nie fika

Justyna Muszyńska-Szkodzik: Był Pan przewodniczącym jury organizowanego przez Łódzki Dom Kultury Festiwalu Rockowanie. Jaką rolę w środowisku debiutujących zespołów pełnią takie konkursy?

Zbigniew Hołdys:- Z pamięci wiem, że to są wielkie emocje, bo to jednak konfrontacja z innymi zespołami, z jury, z widownią, której tutaj niestety nie było. A powinna być, bo my w młodości wlekleśmy za sobą tabuny znajomych, kumpli z podwórka, ze szkół, a tu nic. Ale wystarczy, że jeden gitarzysta zobaczy drugiego i już coś w obu iskrzy. Jeden zespół usłyszy drugi i bierze go nerwica, że sam na takie granie nie wpadł. To są bezcenne doświadczenia. Sama nagroda niewiele znaczy, jeśli się potem nie pojedzie na duży festiwal i nie porwie tłumy. Albo nie nagra fenomenalnej piosenki, która odmieni los zespołu.

Gdy rozmawialiśmy przed finałem Rockowania, ostro ocenił pan młodą, polską scenę muzyczną...

- Niestety, wszyscy grają tak samo, czyli byle jak. Być może mam duże wymagania, stąd surowa ocena. Właściwie zawsze scena muzyki pop czy rock składała się z kilku wybitnych postaci oraz reszty, takiego „zakładu pracy”, w którym działa dużo robotników. Oni coś tworzą, produkują, ale generalnie nie wnoszą niczego nowego do kultury. Pochodzę z tego pokolenia, w którym kilku obłędnych artystów wyznaczało kierunek rozwoju wszystkim. To byli ludzie, którzy zmienili poziom muzyczny w naszym kraju, ich występy powodowały turbulencje całej polskiej sceny. Potem pojawiał się ktoś inny, kto wytrychem otwierał kolejne drzwi i wylewała się lawina kolejnych fantastycznych artystów. Dziś na szczycie pojawiają się ludzie, którzy w moim mniemaniu są co najwyżej średniej klasy. Odnoszą jakieś komercyjne sukcesy, a inni, słabsi psychicznie, kopiają ich muzykę. Jak się pojawia ktoś oryginalny, to natychmiast mam iskry w oczach. Ale potem się okazuje, że ten oryginał też zostaje wypastowany przez media, przez stacje radiowe, przez wytwórnie zostaje wtłoczony w schemat zwyczajności. Wszystko jest takie nijakie, w ostatnich latach dreszcze emocji bardzo rzadko mnie nachodzą.

Zapowiadał pan, że będzie wspierał młodych muzyków, ale zupełnie inaczej niż robią to programy telewizyjne typu „Mam talent”, „Voice Of Poland”.

- Póki co nic z tego nie wyszło, ale nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa. Chcieliśmy w naszym warszawskim Klubie Chwila organizować spotkania dla początkujących muzyków. Jednak po ponad siedmiu latach działalności musieliśmy wyprowadzić się z budynku po starej drukarni na Woli, który ma zostać wkrótce zburzony. Klub muzyczny to było zawsze moje marzenie. Znaleźliśmy z synem nowe miejsce w Śródmieściu Warszawy na rogu Żurawiej i Poznańskiej. Przez ostatnie miesiące prawie nie spaliśmy, zastanawialiśmy się, czy dostaniemy wszystkie pozwolenia. Na szczęście udało się.

Nie wierzy pan w sukces gwiazd z talent show?

- Talent show to stare zjawisko, kiedyś nazywało się „mikrofon dla wszystkich”. Właściwie jest to efektowna telewizyjna forma karaoke. Przecież wystarczy wejść do jakiegoś pubu i natknąć się na dobrze śpiewających ludzi. My jednak szukamy artystów, a nie kogoś, kto pięknie wykona piosenkę Ani Dąbrowskiej. Kora nie śpiewała czyichś piosenek, tylko wystrzeliła z „Boskim Buenos” na festiwalu w Opolu. Nikogo nie kopiała i widownia z wrażenia spadła z krzesel. Teraz w talent

show wychodzi chłopak, który nie ma własnego repertuaru, żadnego stylu, ale ma fajny głos i śpiewa „Smells Like Teen Spirit” Nirvany. Publiczność się zachwyca, bo kocha ten utwór. Ale to nie jest Kurt Cobain, który zagrał go jako pierwszy i wyważył drzwi do nowego nurtu.

„Podobają nam się melodie, które już słyszeliśmy” - jak mawiał inżynier Mamoń w „Rejsie”, czyli talent show to tylko gra na emocjach?

-Te programy artystycznie niewiele znaczą, to telewizyjne widowiska, mają generować emocje, nie wyszukiwać geniuszy. Ich twórcy nie kryją, że pokazują człowieka, który śpiewa cudze słynne piosenki, do tego opowiada na wizji, że zmarła mu matka, albo zbiera na operację brata, budzi litość i wyciska łzy. Program wygrywa ktoś, za kogo słynny juror od samochodów ręczy: „daję sobie głowę uciąć, on zrobi oszałamiającą karierę”. A ten ktoś fałszuje jak zarzynane zwierzę, i ani jury, ani widownia tego nie słyszy. No ale to jest alkoholik, który się wydzwignął z kłopotów. Chyba zamiast talent show powinien startować w festiwalu piosenki terapeutycznej.

To znaczy, że nie ma już artystów mówiących własnym głosem, nastąpiło pokolenie epigonów, muzycznych rzemieślników?

- Młode pokolenie nie jest w stanie dorównać artystom takim, jak Ewa Demarczyk, Czesław Niemen czy Marek Grechuta. Niby ten sam naród, ta sama kultura, a coś jest nie tak. Często zachowujemy się jak najbardziej wyrafinowani smakosze muzyki, ale jednocześnie ustępujemy pola Sławomirowi. Paradoksalnie on jest potrzebny, bo śpiewa piosenki z nurtu kultury ludycznej, która przecież też jest nasza. Wcześniej też triumfy święciły piosenki z tej stylistyki, np. „Jak się masz kochanie” czy „Daj mi tę noc”. A dzisiaj nie ma mistrzów, pozostaje nam tani karierowicz, którzy za wszelką cenę chce odnieść sukces, kopiując tych, którzy według niego są na topie, potem jedzie na Eurowizję i zajmuje 19 czy 47 miejsce.

Co poradziliby pan młodym ludziom, którzy wchodzi na muzyczną ścieżkę i wcale nie chcą być karierowiczami?

- David Selznick, producent filmu „Przeminęło z wiatrem”, powtarzał, że w filmie najważniejszy jest scenariusz, „najpierw dobra historia” mówił. Odpowiednikiem scenariusza w muzyce jest piosenka - „dajcie mi dobrą piosenkę”, „stwórzcie oryginalną kompozycję”, później znajdziemy wokalistę, który poniesie ją w świat. Dlaczego dziś wszyscy gitarzyści chcą grać „Nothing Else Matters” Metalliki czy „Schody do nieba” albo nawet popowe utwory Beyonce czy Rihanny? Bo to są genialne kompozycje stworzone przez profesjonalistów. Jim Morrison pisał bajeczne teksty, bo był poetą. A u nas usiłuje się ukuć mit wokalisty, który koniecznie musi pisać teksty. Czy on jest Szyborską? Gitarzysta, który jest liderem, mówi: ja będę komponował. Komponowanie to jest dar od Boga. Polscy kompozytorzy, tacy jak Zbigniew Preisner czy Michał Lorenc - ludzie o obłądnych mózgach, którzy wymyślają oryginalne melodie, oni nie koncertują z zespołami na listach przebojów. Najpierw trzeba więc znaleźć dobrego kompozytora który komponuje znakomite songi, z nośnymi refrenami, oryginalne. Zespół nie powinien zamykać się w swoim kręgu, więc gitarzysta niech nie fika i nie robi wszystkiego sam, tylko niech szuka kompozytora i dobrej piosenki.

W 1981 roku śpiewał pan „Chcemy być sobą”. Co dzisiaj znaczą dla pana te słowa?

- W dalszym ciągu to samo, co wtedy. W świecie rządzi koniunkturalizm - skoro teraz „białe różową kratkę” jest modne, to my też sprzedamy „białe w różową kratkę”, a ja nie chcę poddać się ani „białemu w różową kratkę”, ani politykom, ani jakimkolwiek trendom. Trzeba być sobą. Idę ulicą i widzę, że chłopcy mają takie same brody. Dziwne. Dwadzieścia lat temu wszyscy golili się na łyso. Jak w armii. Nigdy nie pociągała mnie taka unifikacja, zawsze byłem na przekór, gdy był modny

określony fason butów, to doczepiałem do nich łańcuszek, żeby się wyróżnić, nosiłem dwa w różnych kolorach. Człowiek jest własnym sztyldem.

W latach 80. polscy rockmani buntowali się przeciw systemowi, walczyli z ciasną mieszczańską moralnością. Dzisiaj tego buntu jakby mniej, konsumpcjonizm pokonał buntowników?

- Muzycy zawsze protestowali przeciwko komercjalizacji życia. Bob Dylan pisał swoje protest songi, Tomek Lipiński z Tilt krzyczał: „Nie wierzę politykom”, natomiast Joni Mitchell śpiewała „nie wierz ludziom po trzydziestce”. Według niej w tym wieku każdy człowiek przestaje walczyć i zaczyna iść ramię w ramię z systemem. Obserwuję, jak w świecie ginie fantazja, ludzie za wszelką cenę chcą się bogacić, podążają za pieniądzem, rezygnują ze swoich marzeń dla kasy.

Zobaczymy pana jeszcze na scenie?

- Dostaję co jakiś czas dziwne propozycje, na przykład.: „czy mógłby pan przyjechać z Perfectem?” (śmiech) Albo: „Czy mógłby pan zaśpiewać piosenkę patriotyczną na wiecu?”. Nie lubię takich zagrywek. Ale ostatnio pojawiła się propozycja zagrania z topowymi polskimi muzykami. Poważnie ją rozpatruję, ale szczegółów jeszcze nie zdradzę.

fot. Dariusz Śmigielski